

Jacek Lejman
(Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej)

Komu tak naprawdę brakuje wyobraźni: ewolucjonistom czy kreacjonistom? W odpowiedzi na artykuł Lecha Zdybła

Artykuł Lecha Zdybła pt. *Co jest takiego złego w teorii Darwina? O pożytku płynącym z pewnej debaty, albo przyczynek do idei krytycznego myślenia (w tym o konieczności odróżniania człowieka od zwierzęcia) czyli ostatecznie o tzw. antropologicznej wyobraźni* można podzielić na dwie części. Pierwsza z nich jest atakiem na nazbyt publicystyczny styl debaty wywołanej przez „słynną” wypowiedź Macieja Giertycha na temat zasadności nauczania teorii ewolucji w szkołach. W tym względzie Zdybła przestrzega przed pochopnym i kierowanym emocjami odrzucaniem idei kreacjonistycznych w imię tzw. „poprawności politycznej”. W drugiej dowodzi, że darwinizm jako teoria o silnym zabarwieniu ideologicznym (światopoglądowym) jest teorią przynajmniej niebezpieczną, jeśli nie wręcz szkodliwą. Broniąc absolutności wartości powiada autor opisywanego artykułu, że taka teoria przeczy zapośredniczonej choćby w religii chrześcijańskiej doktrynie wyższości człowieka nad światem zwierząt, co więcej w ten sam sposób zagraża uświęconym tradycją filozoficzną antropologicznym przesłankom budowania koncepcji natury ludzkiej wokół kategorii racjonalności i wolności. Zgadzam się z częścią pierwszą wywodów Zdybła, mam kilka uwag co do drugiej, gdzie myli on teorię ewolucji z jej propagatorkami, powołując się na kategorię wyobraźni antropologicznej, której ponoć ewolucjonistom brak.

Po pierwsze – i od tego chciałbym zacząć – zgadzam się, że stanowiąca inspirację dla omawianego artykułu medialna debata stała – najogólniej rzecz ujmując – na niezbyt wysokim poziomie. Nie miała charakteru naukowego, prowadzona była w większości między wulgarnymi ewolucjonistami a wulgarnymi kreacjonistami. Brakowało rzeczowych argumentów, dominowały spory „pozakompetencyjne”. Z drugiej jednak strony, gdyby toczyła się między „fachowcami”, czy ktoś chciałby ją oglądać? Niestety takie mamy czasy – w tym względzie nad ich kondycją ubolewam na równi ze Zdyblem – że o ważnych kwestiach w mediach dyskutuje się z tzw. „Idolami”, niezależnie od tego, czy rzeczywiście wiedzą oni, o czym mówią. Są

za to postaciami medialnymi. Piłkarze, pop-muzycy, aktorzy seriali wypowiadają się w sprawach, o których mówić nie powinni innym głosem jak głosem „zwykłego śmiertelnika”. Autorytetami bowiem poza profesją, którą się zajmują, nie są i być nie mogą, tak jak ja dla przykładu nawet nie zbliżyłem się nigdy do biegania 100 metrów w okolicy 10 sekund (chyba, że ową „okolicę” ustalimy bardzo szeroko) a i głos mam średni. Ale mnie nikt publicznie nie pyta na temat treningu wysokościowego biegaczy czy taktyki na najbliższy mecz reprezentacji piłkarskiej i to pomimo tego, że „Przegląd Sportowy” i „Piłkę Nożną” czytuję regularnie, a mecze oglądam. Byłoby miło, gdyby, sprawiając wrażenie rozmowy z osobami opiniotwórczymi, dziennikarze unikali zapraszania na debaty takie jak ta opisywana przez Zdybła, osób równie niekompetentnych w nie-reprezentowanej przez siebie dziedzinie. Niestety ze zdziwieniem spostrzegłem, że atmosferze takiej ulega sam autor. Sugeruje on, że (argumentum ad personam) zwolennikom teorii ewolucji idzie o ich własne dobre samopoczucie, zachowanie stylu życia, wygodę i konformizm. Skąd o tym wie? Bo jeśli nie wie, uprawia taką sama „demagogię” jak krytykowany przez siebie Idol.

Rację – i to po drugie - bez wątplenia ma Zdybel, gdy powiada, że „kategoria większości” (kryterium większości) hołubiona przez demoliberalne społeczeństwa nie może być argumentem w sporach naukowych czy filozoficznych. Obecnie trzeba jasno to powiedzieć, kwestia racji (jako swoistej poprawności politycznej) a kwestia prawdy nie są ze sobą niestety tożsame. Boję się jednak, że jesteśmy na to skazani i że rzecz nie dotyczy tylko debat publicystycznych. Używając terminologii zapożyczonej od T. Kuhna, myślenie takie jest uwikłane w każdorazowo inną dla danej sytuacji paradygmatyczność. Innymi słowy tak to już jest, że po pierwsze dana teoria zwycięża w danym momencie, jeśli ma tzw. „naukową większość” za sobą, po drugie zaś nie znaczy to zarazem, że to mniejszość nie ma racji-prawdy. Inaczej niemożliwe by były rewolucje naukowe. Jednak już płacz nad „biednymi” kreacjonistami, których jako mniejszość naukową tępi się i z której się wyśmiewa jest tu nie na miejscu. Przypominam, że sprawy tak się miały nie tylko w przypadku współczesnych kreacjonistów, ale i półtora wieku wcześniej. Darwin oraz wyznawcy jego teorii, znajdując się w mniejszości, byli niejednokrotnie szykanowani, publicznie wyśmiewani, dworowano sobie z nich czy wręcz szydzono na łamach angielskiej (zmierzchu epoki wiktoriańskiej, jak powiada Kaye) prasy. Innymi słowy tak jak wcześniej drwiono z Darwina, tak teraz drwi się z kreacjonistów, co akurat w kwestii debaty stricte naukowej nic nie znaczy. Jest raczej socjologicznym asumptem do teorii mediów. Jednak, dodajmy, istnieje dość zasadnicza różnica między stylem wypowiedzi Giertycha a Darwina. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z tym, co nazywam wulgarnym kreacjonizmem, którego adwersarzem może być tylko wulgarny ewolucjonizm, w drugim zaś z teorią, która w pierwszej instancji podlega weryfikacji zgodnej z kanonami poprawności naukowej. Mówiąc zaś dosadniej, pierwsza stawia jako argument mity o smokach (błąd przesunięcia kategorialnego), druga oparta jest na faktach naukowych (sumiennie gromadzonym materiale empirycznym).

Zdyblowska obrona kreacjonistycznego (rozum: antyewolucyjnego) manifestu Giertycha opiera się, jak można mniemać na podstawie lektury omawianego artykułu, na dwóch centralnych kategoriach: tzw. wyobraźni antropologicznej i faktu/interpretacji. Jednak moim zdaniem to właśnie teoriom kreacjonistycznym negującym podobne ludzkim zdolności zwierząt brak jest antropologicznej wyobraźni. Podobnie jak „wulgarny darwinizm” neguje – wbrew podejmowanym na gruncie nauk biologicznych próbom - możliwość syntezy teorii ewolucji z teorią katastrof, tak też „wulgarny kreacjonizm” nie dopuszcza do myśli tego, że z obserwacji zachowań zwierząt w ich naturalnych środowiskach może wynikać, że posiadają one większość ze zdolności przypisywanych tradycyjnie wyłącznie człowiekowi. Co zrobić zatem z takimi zwierzętami na gruncie teorii bronionej przez Zdybla, jeśli okazują się one nad wyraz „mało zgodne” z prezentowaną interpretacją ideową? Zamknąć oczy? Ignorować empiryczne fakty (naukowe)? Czy nie będziemy wtedy w sytuacji zbliżonej do szkoły eleatów negujących istnienie ruchu? Jeśli podkreślanym w artykule sukcesem cywilizacji Zachodu jest rzeczywiście powstanie nauki, to jej naczelnym założeniem jest właśnie wrażliwość na takie fakty; co więcej, relatywnie szybkie na nie reagowanie w postaci tworzenia modeli-teorii adekwatnie je opisujących.

W ten sposób wchodzimy w zakres drugiej z wyróżnionych kategorii. Podstawowy rdzeń przeprowadzonej krytyki ewolucjonizmu dotyczy kategorii „faktu”. W tym względzie trzeba wszakże wyraźnie odróżnić od siebie tzw. „fakt medialny” od faktu naukowego. Pierwszy ma charakter publicystyczno-demagogiczny (często pseudo-demaskatorski – w tym względzie całkowicie zgadzam się ze Zdyblem), drugim rządzą określone reguły metodologiczne. Co więcej, poszerzając zakres dyskusji o inny poruszany przez autora artykułu wątek, w anglosaskiej tradycji funkcjonuje odróżnienie nauki i sztuki (sciences i arts); dwóch porządków, z których pierwszy rządzi się prawami „dobrej nauki”, drugi zaś jest bardziej wyrazem inwencji twórczej autora. Porządki te nazwane zostaną dwiema kulturami. Ich rozbieżność i postulowana gdzieś (socjobiologia wilsonowska) konsyliacja to temat na osobną debatę.

Zwierzęce zdolności są naukowymi faktami a nie interpretacjami. Oczywiście, jak zauważył Russell, zdarzają się i wśród etologów „czarne owce” ulegające chwilowym modom. I tak w latach 70-tych odkryto swoiste dzieci-kwiaty dżungli, jakimi okazały się górskie goryle, dekadę później obsesją badacza było wykazywanie u małp człekokształtnych zachowań typowych dla świata yuppies (walka o pozycję społeczną i dostęp do samic), zaś w następnej bonobo (szympansy karłowate), których zachowanie zdawało się być pomieszaniem godnej parady miłości frywolności seksualnej z charakterystyczną dla generacji X pseudo-filozoficzną postawą wiecznego znudzenia życiem. Sam jestem ciekaw, co w tym względzie przyniosą kolejne lata. Jednak nie wszyscy przecież etolodzy chcą w ten sposób uzasadnić własny sposób życia. Nie wszystkich zatem badania - a śmiem twierdzić, że opisane powyżej przypadki to tylko wyjątki – należy odrzucić jako nienaukowe interpretacje, bo tak rozumiem zarzut Zdybla. Co zatem zrobić z nimi, gdy tylko okazuje się, że nie świadczą na rzecz preferowanej przez siebie tezy?

W nowszych pracach z etyki środowiskowej nie mówi się już o prawach zwierząt jako takich, ale o wyróżnionych gatunkach zwierzęcych bliskich nam behawioralnie (tzw. neogatunkowizm). Dyskusje zatem dotyczą przyznania praw bytom istotnie podobnym do nas, które nazywa się (De Grazia) „boundary persons” (osobami granicznymi). Należą do nich szympansy, bonobo, goryle, delfiny. Nieprawdą zatem jest, wbrew temu, co sugeruje Zdybel, że kategoria osoby ograniczona być musi tylko do istot ludzkich.

Nie wydaje się też być prawdą naczelną teza ideowa kreacjonistycznej normatywnie zorientowanej antropologii, mówiąca, że poprzez usadowienie człowieka w przyrodzie traci on na wartości. Już w Odrodzeniu, a więc na kilka wieków przed Darwinem sądzono, że poprzez wskazanie na takie właśnie nasze pochodzenie udowadnia (uzasadnia) się w ten sposób ludzką godność i wyższość nad innymi bytami. Człowiek dzięki własnym zdolnościom i pracy zdołał się bowiem wydobyć z mroków przyrody, budować miasta, tworzyć piękne obiekty, sztukę, muzykę, filozofię, naukę. W porównaniu ze światem przyrody jawił się on jako istota czynna, kreatywna, osiągająca dzięki sobie i tylko sobie więcej niż istoty znajdujące się na drabinie jestestw bezpośrednio powyżej (anioły) i poniżej niego samego.

Nie wszyscy też ludzie prowadzą aksjologiczno-etyczno-polityczne debaty, tak jak nie wszyscy umieją pisać i nie wszyscy komponują symfonie. Argumenty, które wskazują na naszą jakościową wyższość wobec świata zwierząt nie mogą zatem sięgać akurat tej, zresztą mocno już intelektualnie spenetrowanej sfery zachowań. Co więcej, poza oczywistym już dziś obrazem używającego, wytwarzającego i przekazującego sposób wytwarzania narzędzi potomnym (transmisja kulturowa) szympansa, mamy dowody potencji estetycznych niektórych zwierząt (biologia sztuki), aktów altruizmu i egoizmu (przemieszane ze sobą zresztą), wreszcie znakomicie opisanego przez Jane Goodall prowadzenia wojen terytorialnych przez szympansy czy hieny. Jak powiadałem w jednym ze swych artykułów, gdyby dziś przyjrzeć się wymienianym przez filozofów zdolnościom ludzkim, to jako wyróżnik gatunku pozostaje nam jedynie gotowanie i noszenie ubrań. Nie każdy chce być jednak dobrze ubranym kucharzem. Co więcej, ograniczenie Człowieczeństwa do możliwości rozumnej dyskusji na jego temat nie tylko wyłącza zwierzęta z owego kręgu, ale i wielu ludzi. Czyż to nie autorowi artykułu nie-rozumnym wydaje się „argument o bzykaniu”?

G. Böhme ma rację, gdy mówi, że dzieje ludzkości to dzieje prób separacji od świata zwierząt. Jednak tempo tego procesu, a niektórzy powiedzieliby, że i sam proces przebiegają różnie, zależnie od nastawienia danej cywilizacji. Szczególnymi secesjonistami w tym względzie wydają się przedstawiciele cywilizacji zachodniej. Podawani przez Zdybla starożytni Grecy z kolei to chyba akurat nie do końca dobry przykład ze względu na wyraźny rys orficki filozofii greckiej (pitagorejczycy, Platon). Można bowiem w obrębie tej filozofii wymienić za DeTyardem i Cardano dwie obecne tam postawy: pro-zwierzęcą drogę pitagorejską i od-zwierzęcą drogę perypatetycką. Co więcej, schyłek starożytności to (Plutarch, Porfiriusz, Plotyn) zwycięstwo raczej tych pierwszych (słynny traktat Plutarcha). Dopiero wieki następne

przyniosą zmianę, jednak zarówno w średniowieczu (św. Franciszek) jak i wiekach następnych (Morus, Montaigne, Schopenhauer, Th. Lessing) pojawiać się będą wpływowe postacie krytykujące oderwanie się człowieka od zwierząt. I nie idzie im o ponowne zezwierzęcenie, ale o szacunek dla prawa do życia. To prawda, że chcemy (na wzór kartezjański) żyć obok zwierząt i przyrody, ale to nie znaczy że takie życie jest słuszne i możliwe (Rousseau). Kartezjusz wyróżnił dwie absolutnie odmienne rzeczywistości, wpływając na wieki na kształt nie tylko nowożytnej filozofii, ale i nauki. Problem polega na tym, że w jej rozwoju okazało się, że owe rzeczywistości nie są tak absolutnie odmienne, jak mu się wydawało (vide już filozoficzne spory postkartezjańskie). Dlaczego zatem bronić przegranej idei?

W dużej mierze jesteśmy zwierzętami, czy nam się to podoba czy nie. I nic tu do rzeczy nie ma kwestia interpretacji. Nawet Zdybel przyznaje, że ucłowieczenie to kontrola nad naszą zwierzęcością. Gdybyśmy nie byli zwierzętami, czy byłoby co kontrolować? Oczywiście nie redukuje człowieczeństwa do wymiaru jedynie biologicznego. Chcę jedynie zwrócić uwagę, że człowiek posiada naturę dwoistą; jest zarazem zwierzęciem biologicznym jak i istotą kulturową (spór na temat tego, czy kultura nie jest jeszcze jedną adaptacją biologiczną pozostawiam tu nierozstrzygnięty). W żaden sposób nie umniejsza to jego zasług, w żaden sposób nie deprecjonuje. Rzecz idzie teraz o to, czy zechcemy zobaczyć w innych (owych boundary persons) istoty nam podobne. W tym względzie nie widzę ani przeszkód ani szkód. Przeszkód byśmy wreszcie zobaczyli w zwierzętach to, czym w istocie są. Szkody zaś ponoć wiążą się z teorią Darwina. Szacunek dla siebie i innych nie może być jednak powiązany z mitem supremacji gatunkowej jako swoistą uzurpacją (Pascal). Musi on wywodzić się właśnie z zaangażowania w kwestie docenienia prawa innych pozaludzkich bytów do istnienia. Zakazując teorii ewolucji popełnia się zatem jeszcze ten błąd, że owego szacunku nie uczy. Teza Zdybla mówi, że Zachód wygrał w konkurencji z innymi cywilizacjami, gdyż skutecznie zdołał się oderwać od świata zwierząt. Ale czy rzeczywiście na tym wygrał i w czym? W postępie technicznym bez wątpienia, ale przecież nie o to Zdyblowi chodzi. Ale czy także w moralnym? Śmiem wątpić! Po pierwsze mit moralnej wyższości cywilizacji Zachodu to już przebrzmiała, wyśmiana wręcz, podobnie jak rasizm, teza. I zapewniam, że nie w debatach telewizyjnych. Jednak przecież nie o szowinizm kulturowy, ale o gatunkowy posądzam Zdybla. A tutaj i na tym gruncie zdają się nie być li tylko kulturową modą wszelkiego typu ekologizmy, podobnie jak skierowanie uwagi na zdecydowanie prozwierzęce filozofie Wschodu nie jest kaprysem człowieka Zachodu. Inny stosunek do relacji człowiek-przyroda (człowiek-zwierzęta) stał się już od kilkadziesiąt lat koniecznością, a nie swoistą ekologiczną dewocją. W tym względzie nawrót do wulgarnego kreacjonizmu jest grzechem. Chyba, że będzie to (jakiś) kreacjonizm oświecony. W tym ostatnim względzie zarówno w ekologii chrześcijańskiej jak i muzułmańskiej następuje widoczna reorientacja. Człowiek nie jest już na ich gruncie panem świata, ale jedynie jego użytkownikiem i co najwyżej niekiedy zarządcą. Panem świata jest na gruncie tych ekologii ich stwórca. Skoro stworzył świat i stworzył człowieka, to chyba nie po to, by były te dwa światy od siebie zu-

pełnie odseparowane. Sukcesem człowieka nie może być zatem tak pojęty, jak widzi to Zdybel, separatyzm.

Nie można również na tej podstawie tj. ze względu na ideologiczne lub światopoglądowe skutki, reglamentować wiedzy. Innymi słowy w tych kwestiach trzeba prowadzić dyskurs naukowy, a nie światopoglądowy. Oczywiście są wyjątki. Tak zrobił ponoć Albert Einstein z jedną ze swoich teorii, ale miał po temu naprawdę mocne, wykraczające poza zwykłą ideologię podstawy. Przemawiały bowiem za tym względy dotyczące dalszych losów ludzkości, może świata. Takich argumentów nie znajduję w omawianym temacie. Odróżnijmy bowiem wyraźnie darwinizm i jego neoewolucyjne rozwinięcia jako teorie naukowe od ich interpretacji światopoglądowych. Często w debatach na temat ewolucji człowieka miesza się ze sobą jedno z drugim, tak jak miało to miejsce w przypadku socdarwinizmu. Przy bliższym przyjrzeniu się tej kwestii okazuje się bowiem, że teorie darwinizmu społecznego opierają się na zasadach ewolucji typu lamarckowskiego a nie darwinowskiego. Podobnie rzecz się ma w mocno dyskutowanych obecnie sporach wokół socjobiologii, gdzie nader często przechodzi się od wyników badań biologów zajmujących się zachowaniem zwierząt społecznych do tez z pogranicza tzw. – w moim odczuciu pseudo-naukowej – psychologii ewolucyjnej. Co więcej, czynią tak zarówno sami biolodzy jak i humanistycznie nastawieni interpretatorzy ich badań.

Podobny błąd popełnia Zdybel. Dla przykładu jego sposób omawiania kategorii celowości w przyrodzie nie dotyczy darwinizmu (szczególnie: neodarwinizmu), ale jego potocznej interpretacji. W efekcie podważa on nie tyle teorię ewolucji, ale własną (mylną zresztą) jej interpretację.

Odpowiadając na zadane w tytule tekstu pytanie wydaje się, że wyobraźni brakuje nade wszystko kreacjonistom. Fakt ten dostrzegalny jest na dwóch poziomach. Nie zauważają oni po pierwsze, że teorie strzegące idei jakościowej różnicy między nami a zwierzętami służą de facto usprawiedliwianiu sposobu, w jaki je traktujemy (zjadamy, wykorzystujemy, używamy jako testerów). W tym ostatnim z wymienionych w nawiasie względów to właśnie brak wyobraźni każe nam z jednej strony uznawać je za dostatecznie dobre (bliskie nam) do testowania na nich leków, z drugiej zaś nie zauważać, że ich reakcje mogą być na tyle podobne do naszych (wrażliwość na ból, zamknięcie, izolacje, itp.), że podejmowanie opisywanych powyżej działań staje się okrucieństwem.

Drugi poziom wiąże się z często podnoszonymi przez kreacjonistów argumentami, że długofalowe (w skali czasu) działanie mechanizmów ewolucji jest nie do przyjęcia właśnie z uwagi na to, że trudno je sobie wyobrazić. Prościej zatem przyjąć, że powstanie takich czy innych organów zwierzęcych, a także złożonego repertuaru behawioralnego jest wynikiem „jednorazowego” aktu zmyślnej kreacji. Jednak ten „psychologiczny” argument nie sięga sedna wyobraźni naukowej, odnosząc się z równym skutkiem do teorii ewolucji jak i np. astrofizyki czy badań na poziomie molekularnym. Upraszczając: to, że ktoś czegoś nie potrafi sobie wyobrazić, nie świadczy o tym, że owo coś nie ma miejsca, że nie istnieje, że nie zachodzi.

Darwin długo wahał się, czy przenieść wyniki swych odkryć na ludzi. W kwestii opisywanej obecnie darwinizm to presupozycja metodologiczna dla wielu

dziedzin biologii (w tym etologii) i nie tylko (paleoantropologia). Dziś ich odkrycia żyją własnym, naukowym życiem. Nie trzeba zatem ewolucjonizmu, by zauważyć, że zwierzęta to coś więcej niż nam się wydawało. Racje ma Gandhi, gdy powiada, że w naszym stosunku do zwierząt wyraża się nasze człowieczeństwo. Czyż nie łatwiej będzie nam to pojąć, jeśli uznamy się za część przyrody?

Summary

Which one indeed lacks imagination: evolutionism or creationism? In reply to the article of Lech Zdybel

An article is a polemic with theses of Lech Zdybel. The author, replying for the question put in the title of the text, states that it is creationists that lack imagination first of all. He perceives this fact on two levels. Firstly, they did not notice the fact that theses guarding the idea of qualitative difference between us and animals serve de facto as justification of the way in which we treat them (we eat animals, exploit them and use as testers). Another level is connected with arguments often raised by creationists that long-term (referring to time) operation of mechanisms of evolution cannot be accepted exactly due to the fact that they are hardly imaginable. It is easier to assume that creation of these or those organs of animals as well as complex behavioral repertoire are the results of "one-time" act of ingenious creation. However, this psychological argument does not reach the core of scientific imagination relating, with the same effect, to the theory of evolution as well as, for instance, to astrophysics or researches on a molecular level. Simplifying: the fact that someone cannot imagine something does not prove that something does not take place, that it does not exist, that it does not happen.

Резюме

Кому в действительности не хватает фантазии: эволюционистам или креационистам? В ответ на статью Леха Здыблы.

Статья является полемикой с тезисами Леха Здыблы. Отвечая на вопрос, заданный в заголовке текста Л. Здыблы, автор отмечает, что фантазии не хватает прежде всего креационистам. Этот факт замечает на двух уровнях. Во – первых, они не видят, что теории, защищающие идеи качественной разницы между нами и животными, употребляются фактически, чтобы оправдать наше отношение к ним (что их едим, используем, употребляем в качестве тестеров). Второй уровень связывают с типичными аргументами креационистов, что долгосрочное действие механизмов эволюции невозможно принять именно потому, что его трудно себе представить. Поэтому проще согласиться с тем, что образование тех или иных органов животных, а также сложного бихевиорального репертуара является следствием «одноразового» хитроумного творческого акта. Однако этот «психологический» аргумент не касается сути научного представления, относясь в равной степени к теории эволюции как и, например, к астрофизике или молекулярным исследованиям. Проще говоря, факт, что кто – то чего – то не умеет себе представить, не свидетельствует о том, что это что – то не существует и не происходит.